

Nazywam się Milanowska Leokadia.



Urodziłam się we wsi Biernatki, powiat Augustów 5.XII.1925 roku. Przed wojną ukończyłam pierwszą klasę gimnazjum. Uczęszczałam do szkoły w Augustowie. Rodzice moi prowadzili gospodarstwo we wsi Biernatki. Była to liczna rodzina. Było nas siedmioro dzieci. W 1939 roku jak się rozpoczęły działania wojenne miałam pójść do drugiej klasy gimnazjum w Augustowie. Oczywiście już do szkoły nie poszłam.

Miałam starszego brata, który uczęszczał do czwartej klasy gimnazjum. W październiku lub listopadzie został on aresztowany przez NKWD w Augustowie. Wówczas to byliśmy bardzo zatrwożeni tym, zresztą nie tylko brat był aresztowany, ale i bardzo dużo chłopców z gimnazjum. Nastąpiło to po tym, jak znowu zaczęliśmy uczęszczać do gimnazjum, gdyż po pierwszych dniach wojny i wkroczeniu Rosjan, wszystkie szkoły na terenie Augustowa ponownie zostały otwarte. Jak brat został aresztowany, rodzice zdecydowali, że nie będziemy już chodzić do szkoły, bo trzeba żeby wszyscy byli razem, gdyż nie wiadomo co <sup>będzie dalej</sup> się dzieje. O bracie na razie nie wiedzieliśmy, że był w Augustowie, potem słuchy zaginęły i nie wiedzieliśmy w ogóle gdzie on jest.

W styczniu 1940 roku zaczęły się na naszych terenach wywózki ludzi. No nie wiedzieliśmy w ogóle co to znaczy. Po prostu przychodzili w nocy, zabierali rodzinę i wywozili gdzieś. Mówiło się, że wiozą na Sybir.

W styczniu, chyba lutym - 10 lutego 1940 roku był taki pierwszy transport z tamtej okolicy, okolicznych wsi i miasteczek. Okazało się, że zaczęto interesować się także naszą rodziną. Na czym to polegało: przyjechali z NKWD, spisali całą rodzinę, nie tylko co posiadamy, ale także jakie mamy gospodarstwo, jaka rodzina, cały jej skład. I już wiedzieliśmy, że coś się będzie działo, bo do wszystkich tak nie przyjeżdżali i nie zapisywali. Chodziły słuchy, że będą następny transport gdzieś na Sybir wywozić. No i tak było. 13.IV.1940 roku w nocy przyszli do nas z furmanką bolszewicy. Kazali nam się załadować. Mama już wcześniej była przezorna, wiedziała co będzie i przygotowała się. Ci ludzie, którzy przyjechali po nas byli serdeczni. Nie to, żeby się z nami specjalnie źle obchodzili, kazali zabrać na tą furmankę jak najwięcej rzeczy.



Najgorszą sprawą było to, że mieliśmy dziadka. Ojciec ojca miał 84 lata i był ułomnie chory i nie można go było zabrać.

Postanowiliśmy, że dziadek zostanie. I straszna była sprawa jak ten dziadek został, jak płakał, jak krzyczał, jak się z nami żegnał. Nasze gospodarstwo zostawało bez opieki, w związku z tym, przyprowadzono tam sąsiadkę, która się miała dziadkiem opiekować i zapisano, że ona to przejmie, - przejmuje.

W trakcie jazdy okazało się, że są zabierane jeszcze dwie rodziny z tej samej wsi. Zawieziono nas do Augustowa na dworzec.

Tam podstawione były wagony towarowe i załadowaliśmy się tam.

Były takie półki zrobione w tych wagonach, każda rodzina jakieś tam miejsce sobie znalazła. Bardzo dużo było tam rodzin może ze dwadzieścia w takim jednym wagonie. Jeszcze jak byliśmy w Augustowie na dworcu, to różne się historie działy. Niektórzy młodzi uciekali z wagonów. Mój ojciec nie chciał, żebyśmy się wszyscy rozstawali. W tym czasie była nas czwórka dzieci: rodzice i ja /najstarsza/, dwóch moich młodszych braci i siostra. Reszta rodzeństwa, dorosła już była gdzie indziej: jedna siostra w Grodnie, jedna w Warszawie i aresztowany brat w Augustowie. Jeszcze cały dzień dowozili, to ktoś uciekł, to kogoś nie mogli dowieźć. Potem ruszyliśmy, wiadomo było, że wiozą nas gdzieś na Syberię. Ojciec pytał stale, co z jego synem?. „No spotkacie się” odpowiadali. „Do niego tam wieziemy was”. Na granicy - nie pamiętam jak długo tam jechaliśmy - któreś nocy przeprowadziliśmy się do innych wagonów, ponieważ w Związku Radzieckim były szerokie tory. Było to w nocy.

Przenieśliśmy się do innych wagonów. Tak samo były zrobione z półkami. Okazało się, że były to jakieś wagony po węglu, byliśmy więc niesamowicie wybrudzeni. Tymi wagonami jechaliśmy aż na Sybir. Jechaliśmy cały miesiąc. Wyjechaliśmy 13 kwietnia, a na miejsce dotarliśmy w drugiej połowie maja.

Na terenie Polski dostawaliśmy wodę gorącą „Kipiotok”, potem na terenach ZSRR dostawaliśmy zupę, bądź kaszę z kukurydzy. Nie były to regularne posiłki, a otrzymywaliśmy je na postojach, które z reguły były w terenie odludnym. No, były różne śmieszne historie jak się tam załatwialiśmy pod wagonami wszyscy razem. Potem już w tych wagonach w ZSRR były zrobione jakieś ubikacje. I tak dojechaliśmy.



Przyjechaliśmy do Mamlutki . To jest taka nieduża stacja przed Pietropawłowskiem. I tam kazano nam się wyładowywać. Okazało się, że są tam przygotowane namioty wojskowe i do tych namiotów , po kilka rodzin kazano nam się wprowadzać. I tutaj oczekiwaliśmy cały tydzień na to, żeby nas zabrano dalej. Oczywiście cały czas pod strażą. Po jakimś tygodniu zaczęły podjeżdżać samochody ciężarowe i gdzieś nas dalej odwozły. Nie wiedzieliśmy dokąd. Nadzłą rodzinę przewieziono do Mariewki nad rzekę Iszym.

<sup>1</sup>am nocowaliśmy. Nie widzieliśmy żadnego mostu, nic nie widzieliśmy co się <sup>będzie</sup> dzieje dalej. W każdym bądź razie tam nas ~~wyładowano~~ i mamy tutaj czekać.

Pamiętam, jak mama opowiadała, że poukładała dzieci spać, a dorośli chodzili i pilnowali, żeby nikt <sup>nie</sup> ukradł. Pierzynka, którą byliśmy przykryci była zupełnie sztywna, bo noce były jeszcze mroźne.

Na drugi dzień przetransportowano nas promem na drugą stronę rzeki. Szeroka rzeka, jakiej nie widziałam w okolicach Augustowa.

Na drugiej stronie znowu czekamy pod gołym niebem. W końcu przyjechały ciężarówki i odwieziono nas już wtedy do tej wsi Suchorabowka.

To była wieś, w której przebywaliśmy cały czas. Gdy przyjechaliśmy do tej Suchorabowki, ciężarówki zatrzymały się na środku wsi przed takim domem kultury i tam kazano nam się wyładować i nocować.

Okazało się, że jest nas 20 rodzin. I tu już nie ma nad nami żadnej straży, już nas nikt nie pilnuje. Zostawiono nas samym sobie.

Co robić ? Przyszedł przewodniczący kolchozu i mówi, że: jesteście tu przywiezieni i tu będziecie żyć. No ale co i jak ?, gdzie mieszkać ? . Zaczęli nas przydzielać do rodzin rosyjskich na mieszkanie. Oni mają takie mieszkania nieduże, jedna chałupinka; pokcik i jakaś tam kuchenka, to były największe jakie były mieszkania.

Mieszkające tam gospodynie /mężczyzn było bardzo mało, bo byli na wojnie/, krzyczały bo się bały w ogóle przyjąć kogoś takiego na mieszkanie.

Mój ojciec wraz z kilkoma jeszcze osobami postanowił pochodzić po wsi i ewentualnie samemu znaleźć mieszkanie. Znalazł takie mieszkanie u takiej babci staruszki /75 lat miała/. Syna miała „Krasnoarmiejca”. Chętnie nas przyjęła i bardzo serdecznie się nami zajęła.

Trzeba teraz było myśleć o jakimś życiu, zdobyciu pożywienia.

Do kolchozu na razie nas Polaków nie przyjmowali, z tego względu,

gdyż uważali, że oni /tzn. my/ wszystko powyrzują, poniszczą, pobiją,

W pierwszym roku zaczęli wszyscy tam chodzić i domagać się jakiejś pracy, gdyż trzeba było zdobyć środki do życia. Gorzej było rodzinom, w których były tylko matki z dziećmi.

W tym samym transporcie najwięcej było takich, którzy mieli kogoś aresztowanego. Szczególnie dużo rodzin policjantów z Augustowa, tzn. matki z dziećmi, a mężczyźni byli aresztowani.

O bracie nadal nic nie wiedzieliśmy, tylko mówiło się, że przybędzie kiedyś tam, ale nadal go nie było.

Tymczasem zaczęto organizować pracę w lesie. W naszym otoczeniu były przeważnie stopy, małe laski brzoźowe, a lasy większe były dalej.

Mężczyzn zorganizowano, tzn. był tam mój ojciec i jeszcze jeden z naszej wsi, a resztę stanowiła młodzież.

Ludzie, u których mieszkaliśmy już później byli dla nas serdeczni i zupełnie pogodzili się z naszą obecnością. Później zaczęliśmy już pracować w kołchozie. Dzieci zaś chodziły do szkoły. Brat mój pracował w kołchozie. Wyjeżdżało się wówczas na całe lato na „brygady polowe”, ja chodziłam na dorywcze prace w kołchozie.

Ojciec pracował przy obsłudze koni, mama także chodziła na dorywcze prace. I tak zarabialiśmy na - jak to się nazywało - „trudońni”, i jakoś tak ciągnęło się to życie.

W 1941 roku dopiero zaczęły do nas dochodzić wiadomości, zaczęły też dochodzić paczki.

Pamiętam, że robiłam bardzo dużo sweterków młodszym dziewczętom ze wsi i dostawałam za to kostkę masła albo wiadro mąki - u nich była taka miara za zrobienie sweterka.

1942 rok był bardzo ciężki, ze względu na nieurodzaj. Była straszna susza. Chodziliśmy, zbieraliśmy zboże - kłoski, zmiataliśmy resztki zboża po omłotach.

Tymczasem Polacy zaczęli organizować się i budować sobie domki. Prawie każda rodzina wybudowała sobie domek. Wykonany on był z darni, darniny. Kopało się, układało się takie ściany, bele drewniane. Była glina, z której można było robić cegłę. Podłogi wszędzie były gliniane. Odnawiało się je w ten sposób, że nazało się je rozrobionym krowim nawozem.



Jeśli chodzi o szkołę to chodzili do niej młodsza siostra i brat.

Potem dostaliśmy wiadomość od brata, który był w więzieniu w okolicach Archangielska, na robotach; kiedy została utworzona Armia Andersa to wstąpił do wojska. Te trzy rodziny, które były wywiezione z naszej wsi były tak rozdzielone, żeby każda była gdzie indziej. Później ponau dowiedzieliśmy się, gdzie tam kto jest. Odległości były ok. 10 km wieś od wsi. Od najbliższego miasteczka, gdzie było NKWD od Marięwki było 30 km.

Od Pietropawłowska, najbliższej stacji kolejowej było 200 km. Był tak duży obszar, że trudno było się porozumieć. W naszej wsi nie było poczty; poczta była odległa o 10 km.

Później dowiedzieliśmy się z listu, że brat jest w wojsku i próbował nas sciągnąć, ale nie udało się. Przeszedł on cały szlak bojowy Armii Andersa, a po wojnie osiadł w Anglii. Obecnie już nie żyje.

Jak wspomniałam, ludność miejscowa po bliższym poznaniu była dla nas życzliwa - życzliwie nastawiona. Najpierw traktowano nas jak wrogów. Dzieci rzucały w nas kamieniami, ale potem nie. Później dowiedzieliśmy się, że mieszkali tam też przyjezdni, <sup>przeważnie</sup> Ukraińcy. Przywieziono ich <sup>w więzi</sup> w trakcie naszego pobytu. W naszej wsi było także bardzo dużo Niemców z nad Wołgi. Ale ogólnie stosunki między nami układały się na ogół dobrze. Gdy myśmy wyjeżdżali, oni tam zostali.

Bardzo trudno nam było zdobyć jakieś informacje. Listy były kontrolowane o czym myśmy nie wiedzieli, ale przekonałam się o tym na własnej skórze. Pisałam bowiem taki list, że miałam później kłopoty w NKWD. Wiadomości mieliśmy tylko z rosyjskich <sup>gazet</sup> ~~poczt~~.

Nauczyłam się czytać i pisać i pisałam listy do krasnoarmiejców, wszystkim proszącym o to kobietom wysyłałam paczki. m.in. utrzymywałam kontakt naszej gospodyni z jej synem, który walczył w Polsce.

W międzyczasie bardzo chorowałam na tyfus. Oczywiście lekarza z nami nie było. Mieliśmy bardzo ciężką sytuację z jedną rodziną, która była wywieziona razem z nami. Grygo - mąż tej pani był aresztowany, a ona z dwójką dzieci wywieziona na Syberię.

Ponieważ, jak mówiłam - nie wolno było łączyć rodzin z tej samej wsi, w związku z tym ona była o 20 - 30 km od nas. Dowiedzieliśmy się wtedy, kiedy wypuszczono Polaków, <sup>że</sup> Mąż tej pani wrócił do rodziny. Wrócił i dosłownie na drugi dzień umarł na atak serca. Nie zdążyliśmy się z nim nawet zobaczyć.



Został tam pochowany. Osierocona rodzina znalazła się w bardzo ciężkiej sytuacji, z tego względu, że ta pani zachorowała bardzo ciężko na raka. Nie było mowy o leczeniu. Trudno było też mówić, by mogła ona zajmować się dziećmi. Dzieci były małe, chyba 3 lata miał ten chłopczyk jak wy jeźdżał, a dziewczynka 6 lat. Tatuś zabrakł tę panią do nas, do tego domu, który sobie zbudowaliśmy. I ona umarła. Zostało dwoje dzieci, które były razem z nami do końca i razem też wróciliśmy.

Straszne rzeczy były jak ją chowaliśmy, bo tam nie było z czego zrobić trumny. Ona nie była w naszej wsi, tylko zmarła w szpitalu w tej Mariewce, 30 km od nas. (Przyjęto ją tam po wielkich staraniach) Pamiętam jak poszłam z tą dziewczynką /jej córką/ - pieszo się tam chodziło - na ten <sup>pogrzeb</sup> grób. Jak ją chowaliśmy - wykopano taki dół z boczku podkop, wsunięto po prostu ją, założono gałązkami, kwiatami i tak zasypano ją i ona tam została. Straszne to było wrażenie.

Bardzo ciężko było tym paniom, które były z małymi dziećmi. Pracować bardzo nie mogły, ponieważ musiały opiekować się dziećmi. Nikt tam się nikim nie opiekował, trzeba było sobie radzić samemu. Początkowo przymusu pracy nie było. Dopiero w od 1941 roku kiedy zabierano ludzi z kolchozu na wojnę i wywożono żywność, musieliśmy chodzić do pracy. Głównie do prac polowych /omłoty, sadzenie ~~trpa~~ i kopanie ziemniaków/.

Kiedy wybudowaliśmy swój domek, to tatuś kupił krowę i na tej krowie trzeby było odrobić swoją część <sup>normy</sup> pracy, bo <sup>wolami</sup> na koniach orało się, bronowało. Brałam więc krowę i wędrowałam z nią do pracy. I tak przeżyliśmy 6 lat.

Pamiętam ogłoszono koniec wojny. To była wielka radość w tym dniu. Ale wie pan, to było bardzo przykre dla nas i aż trudno się przyznać w tej chwili, że myśmy oczekiwali, żeby tam Niemcy przyszli. Nie wiedzieliśmy, co działo się w kraju, jakie tam były obozy, ale nam się wydawało, że jedyne nasze wyzwolenie to właśnie jak Niemcy przyjdą. Smutna to sprawa, ale tak było.

Cały pobyt na zesłaniu bardzo ciężko wspominać. Było to takie rozdarcie, taka tęsknota, którą trudno sobie wyobrazić. Niepewność kiedy się nie wie, co dalej będzie. Trudno pogodzić się z tym. Zresztą nigdy nie omijała nas nadzieja, że wrócimy, ale nigdy nie było nic pewnego. Dopiero później po 1945 roku zaczęły krążyć słuchy, że temu pozwolą, temu nie pozwolą wyjechać.



Zresztą nie było żadnej informacji nawet między Polakami. Jak wiadomo byliśmy rozrzucony w odległości 10 - 15 km. Listy były kontrolowane i nie można w nich było nic takiego pisać. Tak, że nie bardzo było wiadomo komu wierzyć, komu nie wierzyć, czy faktycznie wrócimy, czy nie wrócimy. My wróciliśmy w 1946 roku. Najpierw zapisano nas, wydano dokumenty. Chcieli żebyśmy przyjęli „poddanie” /obywatelstwo/, ale nikt z naszych obywatelstwa nie zmieniał. Zresztą słyszało się, że kto to uczynił to nie wyjechał stamtąd. Przyjechali samochody ciężarowe, ale do końca nie było wiadomo. W czerwcu 1946 r. dowieziono nas transportem do Pietropawłowska i stąd później wracaliśmy do domu. Radość była wielka jak się wracało i nie pamięta się ile się jechało w jakich wagonach, kiedy i co. Przyjechaliśmy do Augustowa w czerwcu 1946 r. Na dworzec kolejowy przyjechali do nas krewni z Augustowa. Rodzice postanowili przemieszkać u nich, a ja z młodszym bratem poszłam do rodzinnej wsi Biernatki - była 8 km od Augustowa. Lecieliśmy tam jak najszybciej. Wieścieliśmy, że czeka tam już na nas siostra ta samotna, która specjalnie przyjechała z Warszawy, żeby przygotować nasze przyjęcie. Przyšliśmy wieczorem, taka szarówka, cisza, spokój. Ten dom wydał mi się jakiś dziwny, drzewa ogromne. Wydawało mi się nawet, że niespełnie to <sup>samo</sup> ~~nasze~~ mieszkanie. Oczywiście siostra na początku nas nie poznała, jak zapukaliśmy do domu. Oczywiście uciesza, radość, cóż tu mówić.

Po powrocie mieliśmy nieprzyjemności ze strony władz. Gospodarstwo ojca zostało rozparcelowane, a raczej podzielone między trzech gospodarzy. Trudności były. Nie ma co o tym mówić. Gospodarstwo było bardzo zniszczone. To było 30 ha ziemi. Ale nie było narzędzi, nie było nic. Ojciec gospodarzył na 11 ha. Było trudno głównie z tego względu, że władze, te miejscowe dekuczały, przeszkadzały po prostu. Mandaty - nie wiadomo za co, podatki. Pamiętam taką historię, że studnia nie była zamknięta, (a przyjechała akurat kontrola sprawdzać) czy słoma rozsypana na na podwórku, że akurat zwozili. To już mandaty. Nie znam tych spraw dokładnie, bo przyjeżdżałam wówczas tylko na wakacje /uczyłam się w Warszawie w Liceum dla dorosłych/, ale wiem z opowiadań, że było ciężko. Później całą gospodarzkę przejął brat.

Kiedy patrzę na to wszystko co było, wydaje mi się to straszne. Bezbronną całkiem ludność, bez przygotowania, bo cóż można było z sobą zabrać, wywożono w nieznane. To było okropne. My byliśmy w <sup>lepszych</sup> ~~dobrych~~ warunkach, bo mieliśmy tego ojca i matkę z sobą. Ale były samotne kobiety, z małymi dziećmi. To było okropne. Strasznie naród przecierpiał a nie było wiadomo za jakie winy. Odbiło się to na zdrowiu wszystkich i rozwoju. Pozostały napewno jakieś ślady na całym narodzie. Wielu wyjechało za granicę i nie chciało wracać jak np. mój brat, który tyle przeszedł w więzieniu i na tych robotach, że po prostu bał się wracać do kraju.-

Lublin 11.05.1989.

SHf -  
Leokadia Milanowska



Prszybyli do chat Maskale

13 -y kwietnia to był

Zbrali ludzi suchwale

By rzucić w wagonów pył

Zamknęli drzwiami od świata

Miliony ludzi wśród łez

I powlókł dziki szjata

W daleki nieznany kros

Ach ciężki los, ach sregi cios.

Z miejsca na miejsce jak zły sen

Wiezą nas ciągle noc i dzień

Już sybir blisko, Mamliutka

Mysiadał prądko, pabudka

Tu szereg pałatek to nowe mieszkanie

Tu nowy tydzień, gdzież nareszcie kros

Mariewka, Iszym, ciężkie nocowanie

By wreszcie dotrzeć na sybirską wieś.

Tam nowe życie pod czerwoną gwiazdą

Tam ci pokszą jak to można żyć

Buran za oknami śmieje się

U nas zapasy kończą się

A tu roztopy woda w pas

Z chaty nie wyjdiesz nawet w las

Wreszcie się skończyły okrutne dni

Na i paczki deszły do naszych wsi

Już weselsze miny, bo dobre nowiny

Z zechedu szły

A te nasze Sybiraczki poszły do kolchozu

Siały, wiały, pełły, męłły, sypały do wozu

Jeszcze jak !

A za te dane im pół kilograma chleba

Troszeczkę pestek i siana, bo czego więcej trzeba

Woda jest w studni, to ją masz

Ta jeszcze się nie liczy

O mięsie, tłuszczu ani marz

Tak sobie Stalin życzy

Radosna wieść, Polacy uwolnieni

Nie masz już więzień, bo tak chciał nasz wódz

Twerzy się armia, którą pokrzepieni

Bracia słowianie chcą Hitlera zmóc

Więc jedź i pisz i nas ze sobą bierz  
By jak najszybciej detrześć do swych leż  
My tu pozostali, czakamy do wiosny  
Kiedy się odezwie dla nas zew radosny  
Wyzicimiamy resztki ubrań  
Na chleb, masło-mięso, pestki  
I trochę pieniędzy nam na drogę  
Tu cielę, tu krowa, a tu wieprz  
Bierz swoją starzyznę i się spiesz  
Bo wnet cię ubiegna sąsiadki  
Zabiorą i mięso i gnatki  
Smutne ciche sybirskie szare dni  
Bo serce tęskni i dusza marzy  
O lepszym jutrze śni  
Wrócimy znów do swych rubieży  
Redzinnych wsi, rodzinnych miast  
Ogarnie nas łono macierzy  
U progu chat, Najdroższych gniazd  
My z Polski wygnańcy  
Więźniowie kazachstańscy  
Oddamy swoją krew  
Cdy przyjdzie zew, gdy przyjdzie zew  
My na Syberię wywiezieni  
Znosimy mężnie ciężki los  
Wiarą w Ojczyznę pokrzepieni  
Nadwjdzie naszej zemsty głos  
Wtedy Sybiracy, zekosim się do pracy  
Ojczyźnie trud swój dać  
Polska po wieki będzie trwać.

KAZACHSTAN 1942



Hej kolego podaj rękę  
 Może Cię nie ujrzę więcej  
 Może na mogiła stanie  
 Gdzieś w dalekim Kazachstanie  
 A może uda się,  
 Że powrócę zdrów  
 I zobaczę Polskę znów

---

Rodzina autorki Przebywająca z nią na zesłaniu :

1. Michał Milanowski - ojciec
2. Aleksandra Milanowska - matka
3. Stanisław " " - brat /pracował w bragadzie w Sucherabowce /
4. Krystyna " " -siostra } uczęszali do szkoły rosyjskiej
5. Tadeusz " " - brat } w Sucherabowce.

#### INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

Anglia, państwo	-5
Archangielsk, miasto	- 5
Augustów, miasto	- 1,2,7
Biernatki, wieś	- 1,7
Iszyn, rzeka	- 3
Pietropawłowsk, miasto	- 5
Mamlutka, st. kolej.	- 3
Mariewka, wieś	- 3,6
Sucherabowka, wieś	- 3
Syberia, regio ZSRR	- 2,5
Warszawa, miasto	- 7
Wołga, rzeka	- 5